

Guareschi

Don Chichì idzie jak czołg

Don Chichì, młody pomocnik don Camilla miał wyraźnie sprecyzowane poglądy.

– Kościół – tłumaczył pewnego dnia proboszczowi – przez swój wielowiekowy konserwatyzm doprowadził do tego, że księża stali się zobojętniałymi biurokratami, którzy tylko czekają w swoich kancelariach, że ktoś przyjdzie załatwiać ślub, chrzciny, pochówek krewnego i temu podobne. Przebrzmiały już dawne idee mówiące o owczarni i pasterzu. Postęp zmienił obyczaje i mentalność, minęły dobre czasy, kiedy wystarczyło, że pasterz uderzył w dzwon, a już cała trzódka pędziła do owczarni. Kiedyś dźwięk dzwonu kościelnego był jedynym potężnym i władczym dźwiękiem unoszącym się w głębokiej ciszy. Dziś zabija ją warkot motorów, hałas i muzyka wydobywające się z głośników, i głos dzwonu stał się jednym z tysiąca ogłuszających nas dźwięków. Przestał być uroczystym wezwaniem i tylko denerwuje. Wierni, zaabsorbowani kwestiami produkcyjnymi i wciąż nowszymi wymaganiami, jakie narzuca postęp, stają się coraz bardziej głusi na wezwania Kościoła. I dobry pasterz, który *temporibus illis* opuszczał trzódkę, żeby odnaleźć zagubioną owieczkę, teraz w owczarni pozostał sam, bo wszystkie owieczki zaginęły. Rozumie ksiądz?

– Rozumiem – odrzekł don Camillo. – A więc zamierza ksiądz zrezygnować z duszpasterzowania i chce się poświęcić działalności gospodarczej.

– Ależ skąd! – zaprotestował don Chichì. – Jeżeli owieczki nie odpowiadają na wezwanie pasterza, to sam musi je po kolei sprowadzić do owczarni. Dlatego, jeśli nasze owieczki nie przychodzą do owczarni po pokarm duchowy, my go im zanieśmy.

– Słusznie – przytaknął don Camillo. – A więc weźmiemy przykład z obwoźnego handlu i powołamy do życia usługi kościelne z dowozem do domu.

– Nie, przewielebny! – wrzasnął księżyk. – Chodzi o to, żeby powrócić do źródeł, do Chrystusa i Apostołów, którzy zgnębionym ludziom nieśli Boże słowa pocieszenia! Żeby chodzić od domu do domu, pukać do wszystkich drzwi, interesować się wszystkimi problemami wiernych, interweniować tam, gdzie jest to możliwe. Żeby przemienić się z księdza biurokraty w przyjaciela. To chciałbym robić!

Pomysł był słuszny, a ponadto miał tę wielką zaletę, że uwalniał don Camilla od obecności księżyka i don Chichì, otrzymawszy bezwarunkową zgodę proboszcza, rzucił się z zapałem do pracy. Oczywiście wiele osób odpowiedziało mu gburowato, że wiedzą, gdzie stoi

kościół i jakby potrzebowali księdza, to po niego posłają. Ale byli też i tacy, co przyjęli go serdecznie i otworzyli przed nim swoje dusze. Jedną z tych osób była Zelinda Brugnazzi, żona dzierżawcy z Palazziny.

– Proszę księdza – zwierzyła mu się pewnego dnia zacna kobiecina, która zdawała się być w wielkiej biedzie – ksiądz wie, jak to teraz jest. Młodzi nie chcą nawet słyszeć, żeby zostać na roli, więc żeby ich przytrzymać, trzeba ich jakoś przekupić. Po wielkich wyrzeczeniach zdobyliśmy dla chłopców samochód. Dla nas biedaków zakup auta to ogromny trud, aleśmy tak sobie postanowili. I teraz, kiedy musimy oszczędzać grosza, bo trzeba zapłacić raty, przyszło to nieszczęście, że umarł stary Tolini. Pocziwina był z niego, ale syn jest z zupełnie innej mąki!

I Zelinda biadając opowiedziała całą historię: kilka lat temu Brugnazzi z poławników stali się dzierżawcami i przejęli część bydła, maszyn, narzędzi i inwentarza należących do właściciela gospodarstwa, starego Toliniego, zobowiązując się do stopniowego ich spłacania. Część już uregulowali, ale teraz, kiedy przyszła sprawa z samochodem, umarł stary Tolini i spadkobierca żąda natychmiast reszty pieniędzy.

– Proszę księdza – użalała się Zelinda – w ciągu kilku dni mamy zapłacić dwa miliony. A skąd my je weźmiemy?

Ferma Toliniego wzięła swą nazwę od domu, jaki stary zbudował kilka lat przed wojną, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od zabudowań mieszkalnych dzierżawcy. Piękny solidny budynek otoczony dużym ogrodem. Prawdziwa siedziba wiejskiego bogacza, wyposażona we wszystkie udogodnienia, niepozbawiona jednak pewnej onieśmiałej napuszonej. Patrząc na nią i myśląc o tych szczęściarzach, którzy tam mieszkali, nie można było nawet powiedzieć „niech ich piorun trzaśnie”, bo Tolini zainstalował na czubku dachu także piorunochron. To są szczególiki, które wielu ludziom umykają, ale które biednych wieśniaków boleśnie dotykały.

– Nie wystarcza synowi, że wszystko odziedziczył? – upierała się Zelinda. – Czemu chce zniszczyć biednych ludzi, którzy tyrają od rana do nocy?

Don Chichì, choć rozpalony wściekłością, uspokoił gestem kobiecinę i zdecydowanym krokiem pomaszerował w stronę domu Tolinich.

Żona Toliniego była chudą i zniszczoną sześćdziesięcioletnią kobietą i przyjęła don Chichiego z wyraźnym chłodem. A dowiedziawszy się, że chce rozmawiać z synem, zaprowadziła go na pierwsze piętro.

– Zaskodził mu nagły chłód i doktor kazał leżeć w łóżku – wyjaśniła.

Dom również w środku był okazały, acz pretensjonalny z tymi swoimi topornymi, choć solidnymi i drogimi, meblami. Spadkobierca miał około trzydziestu pięciu lat, był chudy i już

szpakowaty, z twarzą porytą głębokimi zmarszczkami, które don Chichì zakwalifikował bez wahania jako oczywisty objaw hulaszczego trybu życia.

Porozmawiali o tym i owym, aż wreszcie don Chichì zdecydowanie przystąpił do rzeczy.

– Chciałbym zwrócić pańską uwagę na biednych Brugnazzich.

– Brugnazzich? – zdumiał się spadkobierca. – A czegoż oni chcą?

– Chodzi o należności z umowy z pańskim zmarłym ojcem. Nie są w stanie tak od razu wszystkiego zapłacić.

Spadkobierca był bardzo osłabiony, ale zebrał siły i zaśmiał się szyderczo.

– Przewielebny chyba żartuje! Mogą i muszą to zrobić! I to natychmiast! Z dwóch i pół miliona zapłacili za ledwie pół miliona i to po kawałeczku. A niech ksiądz zważy, że pieniądz wart jest teraz o połowę mniej niż piętnaście lat temu.

– Za to pański majątek, też wart jest dwa razy tyle co piętnaście lat temu – odparował don Chichì. – Zawsze jest jakieś wyrównanie. Opatrzność boska podarowała panu ten piękny dom i piękne gospodarstwo, w którym biedni Brugnazzi tyrają od dobrych dwudziestu lat...

– Opatrzność boska niczego nie daje w prezencie! – przerwał mu rozwścieczony mężczyzna. – To gospodarstwo kupił mój ojciec z moją matką dzięki swojej ciężkiej pracy i wyrzeczeniom, łudząc się, że na starość będą mieli kawałek chleba. Prezentem, jaki mi uczyniła opatrzność, są szmery w sercu, które zmusiły mnie do zwinięcia małej firmy przewozowej, jaką własnymi siłami założyłem w mieście, a teraz ta sama opatrzność zmusiła mnie do życia tutaj, na grzbiecie mojej biednej staruszki. Żadnych prezentów od opatrzności nie mamy, jesteśmy ludźmi, którzy zawsze pracowali!

– Praca to podstawowy obowiązek – odgryzł się twardo don Chichì. – Proszę sobie przypomnieć Świętego Pawła i Drugi List do Tesaloniczan: „Kto nie chce pracować, niech też nie je”.

– Ja już nie mogę pracować – zaprotestował dysząc spadkobierca. – Jestem niezdolny do pracy i jeśli moja stara matka nie będzie miała siły troszczyć się o ogród i kurnik, to za te nędzne grosze z dzierżawy, pomniejszone o podatki, z samych słusznych przykazań i tego złodziejstwa, pomrzemy z głodu.

Don Chichì był nowoczesnym księdzem, który nie dał się łatwo czarować.

– Poruszający jest widok biedaka użalającego się z powodu swojej biedy, ale kiedy użala się z tej samej racji bogacz, to przedstawienie robi się tak smutne, że aż wzbudza niesmak. Jak może opowiadać o umieraniu z głodu ktoś, kto odziedziczył majątek wart Bóg wie ile milionów?

– Dokładnie dziewięćdziesiąt siedem – powiedział spadkobierca. – Urząd skarbowy ustalił ponad wszelką wątpliwość, że cały majątek wart jest dziewięćdziesiąt siedem milionów, a więc będę musiał zapłacić trzydzieści pięć milionów podatku spadkowego.

– Podatki muszą płacić nie tylko biedni, ale również bogaci – stwierdził napastliwie don Chichì. – Niech pan nie lamentuje, tylko sprzeda gospodarstwo, zapłaci należny podatek i jeszcze panu zostanie ponad sześćdziesiąt milionów! Sześćdziesiąt milionów, niezła sumka!

– Oczywiście, sześćdziesiąt milionów to jest coś – powiedział zmęczonym głosem spadkobierca – tyle tylko, że nowe prawo zmusza mnie do sprzedaży gospodarstwa dzierżawcy. A ten biedaczyna, nie może zapłacić dwóch milionów, które jest winien od piętnastu lat, ale za to jest gotów kupić cały majątek płacąc od ręki cenę ustaloną przez stosowną komisję. Czyli trzydzieści milionów. A więc mój spadek wyniesie pięć milionów długu.

– Panie Tolini, nie jestem taki naiwny. Niech mi pan tu bajek nie opowiada – oburzył się don Chichì.

– Nie zna ksiądz prawa pierwokupu.

– Znam i wiem, że to bardzo sprawiedliwe prawo! – krzyknął don Chichì. – Ten, kto przez tyle lat obrabiał kawałek ziemi, ma święte prawo do jej kupienia przed wszystkimi innymi, bo to on ją ujarzmił! Nie dostaje jej w prezencie, tak jak pan. Co pan zrobił, że zasłużył na prawo do tej ziemi?

Spadkobierca oddychał z trudem.

– To gospodarstwo zaświadcza o znoju mojego ojca i mojej matki – zaprotestował słabo.

– Bóg stworzył ziemię, która daje pokarm wszystkim ludziom. Ziemia należy do całej ludzkości, jak powietrze, światło i woda! Nikt nie może oderwać jej od wspólnej własności! Nawet jeśli ją nabywa legalnie, to i tak kradnie!

– A dlaczego to ma być sprawiedliwe, że mogłaby należeć do Brugnazzich? – zaoponował Tolini.

– Bo ją uprawiają! Bo produkują chleb dla wszystkich. Krótko mówiąc, Brugnazzi chcą jedynie zamienić owoce dwudziestu lat ciężkiej i uczciwej pracy na prawo do dalszej ciężkiej i uczciwej pracy dla dobra społeczeństwa.

– A mój ojciec nie pracował na niej ciężko i uczciwie dla dobra społeczeństwa?

– Pański ojciec umarł i nie ma z tym nic wspólnego, świeć Panie nad jego duszą. On już ma swój kawałek ziemi na cmentarzu.

– Ale żyje moja matka! – wykrzyknął wzburzony spadkobierca. – A ci przekłęci Brugnazzi wyrzucą nas i sami przyjdą tu mieszkać! Jak będziemy żyć, bez domu, bez pieniędzy?

– Społeczeństwo o was pomyśli – powiedział don Chichì. – Demokratyczne społeczeństwo myśli o chorych i starcach. Wy też zasmakujecie biedy i dzięki niej odkupicie wasze dawne winy wynikające z bogactwa. Tak właśnie dokonuje się sprawiedliwość społeczna i musi pan raczej pomóc, a nie przeszkadzać w realizacji tego nowego porządku, podać po bratersku rękę biednym wieśniakom i zrezygnować z kredytu udzielonego im przez pańskiego ojca. Dopiero wtedy będzie mógł pan bez wstydu zwrócić się do Boga: „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Tolini gwałtownie uniósł się na poduszkach i złapawszy stojącą na stoliczku nocnym butelkę, wrzasnął:

– Przeklęte kruczysko, łeb rozwałę!

Don Chichì wyskoczył niczym pocisk, a w tym samym momencie do pokoju weszła matka i zbliżywszy się do syna, zaczęła go prosić:

– Nie denerwuj się! Przecież wiesz, że ci to szkodzi. Połóż się z powrotem i nie przejmuj się, Brugnazzi zapłacą i nigdy tu nie wejdą. Nikt nie może nam ukraść tego domu, ponieważ jest nasz i tak pozostanie.

Don Chichì popędził do don Camilla, by dać upust swojemu oburzeniu i z trudem łapiąc oddech opowiedział o dramatycznej przygodzie.

– Don Camillo, przeklęty egoizm bogaczy to wróg numer jeden społeczeństwa. I ich pokonanie musi być pierwszym celem zreformowanego Kościoła. Bogactwo jest dziełem szatana i zwalczając bogaczy zwalczasz szatana. Właśnie dlatego Jezus chciał się narodzić w ubóstwie, a my musimy być żołnierzami Chrystusa robotnika!

– Dokładnie mówiąc – powiedział spokojnie don Camillo – Chrystus nie był robotnikiem tylko rzemieślnikiem.

– To nie ma znaczenia! – wykrzyknął don Chichì.

– Właśnie, że ma. Włączając się aktywnie w nowy porządek społeczny, musimy zacząć od tego, że będziemy pozostawać w najlepszej zgodzie ze związkami zawodowymi.

– Proszę księdza, żarty się księdza trzymają – oburzył się don Chichì. - Proszę nie zapominać, że ten wzbudzający obrzydzenie osobnik chciał we mnie rzucić butelką, a uratowało mnie tylko to, że zdołałem uciec.

– Tolini postąpił bardzo źle. Nie powinien grozić, tylko od razu walnąć butelką w łeb. A wtedy nie udałoby się księdzu zwać – stwierdził don Camillo.

Tolini umarł kilka dni później i jego matka pojawiła się na plebani uzgodnić sprawę pogrzebu.

– Don Camillo – powiedziała wskazując na don Chichiego – to ten przeklęty zadał mi ostateczny cios. Albo ksiądz zrobi tak, żebym go nie oglądała na oczy, albo mój syn będzie miał świecki pogrzeb.

– Proszę pani! – podskoczył don Chichì. – Niech się pani liczy ze słowami i niech pani pamięta, że też stanie przed sądem Bożym!

– Wiem – odparła głucho kobieta – i wcale się nie boję, bo ksiądz nigdy nie wejdzie w skład ławy przysięgłych.

W dzień pogrzebu don Camillo wysłał don Chichiego do miasta i wszystko poszło dobrze. Było lodowate mgliste grudniowe popołudnie. Stara Tolini pochowała syna i niespiesznie wracała do domu, a kiedy już do niego dotarła, zaryglowała drzwi wejściowe, zamknęła okna na parterze i wszystko okleiła taśmą. A kiedy nadszedł wieczór, przetoczyła do kuchni dwie wielkie butle z gazem, które przywieziono jej rano, odkręciła zawory i po ciemku weszła na pierwsze piętro, zamknawszy i zakleiwszy uprzednio drzwi prowadzące na schody. Położyła się po ciemku na wielkim łóżku i czekała. Kuchnia była pod sypialnią i stara kobieta słyszała syczenie ulatniającego się z butli gazu.

A kiedy przestała już je słyszeć, powiedziała:

– Nie dostaną naszego domu, mój synku! – i nacisnęła guzik elektrycznego dzwonka, który dzwonił w kuchni.

Butle z gazem stanowią jedną z największych zdobyczy społecznych tego wieku, ponieważ są dostępnym dla wszystkich obywateli środkiem wybuchowym potężniejszym od dynamitu. Eksplozja była przerażająca i wszystko rozleciało się na kawałki: meble, dom, stara Tolini. Zapaliła się również drewnia, z której płomienie przeniosły się na świerki w ogrodzie, tak że zostały tylko zgliszcza i popioły. A Boska opatrność, która w gruncie rzeczy jest promieszcząnska, sprawiła, że przeniesiony wiatrem żar pokonał drzwi garażu Brugnazzich i strawił lśniąca „Giulię” biednych wieśniaków.

Don Chichì był rozwścieczony do ostateczności.

– Dlaczego kazała sobie rano przywieźć dwie butle z gazem? Dlaczego, jak wynika z oględzin, zawory nie były zepsute, lecz szeroko otwarte? To nie jest nieszczęście, jak ksiądz utrzymuje, tylko samobójstwo i szczątki tej starej nie mają prawa do pochówku w poświęconej ziemi.

Don Camillo spojrzał mu głęboko w oczy.

– No pewnie! Gdybym natomiast ja nagle wpadł w szal, że ksiądz sprzeciwia się kościelnemu pogrzebowi i skopał go na śmierć, to ksiądz miałby oczywiście prawo odpoczywać w pokoju w poświęconej ziemi.

Księżyk wiedział, że don Camillo nigdy by się do tego nie posunął, ale pamiętał też, że nosi on na swoich słoniowatych kopytach ciężkie buciska numer czterdzieści pięć, więc już się dalej nie upierał.

– *Fate vobis!* To ksiądz jest proboszczem. I będzie miał ksiądz potem do czynienia z Panem Bogiem. Ja jadę rowerem na spacerek wzdłuż rzeki.

– No i dobrze – burknął don Camillo.

– A jednak – wykrzyknął don Chichì, kiedy już stał na progu – muszę księdzu powiedzieć, że mieszczaństwo nie potrafi przegrywać!

– Być może to wrogowie mieszczaństwa nie potrafią wygrywać – odparł spokojnie don Camillo. – W każdym razie, gdyby ksiądz trafił w okolicę Brugnazzich, to proszę powiedzieć swoim przyjaciółom, że do jutra muszą zapłacić zaległe dwa miliony, ponieważ stara Tolini przekazała mi weksle, ofiarowując te pieniądze na przytułek.

Na drodze wzdłuż grobli don Chichì minął się z furgonetką Cat i kiedy dziewczyna go spostrzegła, zatrzymała wóz. Księżyk był tak głęboko zdesperowany, że szatańska dziewczyna zaraz podle z tego skorzystała i zdołała mu sprzedać na raty pralkę i froterkę, które miał ofiarować na gwiazdkę swojej siostrze i kuzynce. Potem, schowawszy swe anielskie skrzydła, wzbiła się łagodnie w pochmurne niebo i natychmiast zniknęła.

A przynajmniej tak się zdawało don Chichìemu i pocieszał się, że to od anioła kupił pralkę i froterkę.